Nr. 1. Lwów, 1 stycznia 1900. Rok XXIII.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

NA ROK NOWY.

Rok 1899 dobiega do kresu. Był on wymownem świadectwem żywotności sprawy łowieckiej i chociaż zapisał się na tylu polach boleśnie w historyi naszego kraju, tak, że pragnęłoby się wykreślić go zupełnie z szeregu lat — nam przyniósł on dowody, że szlachetny zawód myśliwca, w najlepszem tej nazwy rozumieniu, znajduje coraz większą ilość prawdziwych miłośników.

Zebrać rozpierzchnięte ślady całorocznych czynności naszych w jedną całość w tych kilku wierszach, byłoby trudno, tak jak niepodobieństwem byłoby podać tu wyczerpujący obraz stanu naszego łowiectwa — wystarczy jednak wskazać na niewidziany dotychczas rozwój Towarzystwa łowieckiego, które zdołało uchronić się od grożącego mu upadku i z młodzieńczą siłą wstąpiło

na drogę, która do celu prowadzi — i wystarczy wskazać na podnoszący się stale i silnie stan wszelkiego rodzaju zwierzyny w kraju, aby uznać, że postęp i to właśnie w ostatnich czasach, jest widoczny i że wszystko jak najlepsze na przyszłość pozwala rokować nadzieje.

Silniejsi niż dawniej, silniejsi dzięki niezmordowanej pomocy licznego grona delegatów i członków, którzy już po ostatniej naszej odezwie znowu liczbę członków naszego Towarzystwa pomnożyli, a którym za to serdecznie dziękujemy, dawnym zwyczajem stajemy przed Wami, Czcigodni Towarzysze, i wołamy z całego serca: Szczęść Boże Waszej i naszej pracy!“



SARNA

napisał

A. hr. SUMIŃSKI.

(Ciąg dalszy). (Ze zdjęciami autora.)

Pień prawy dłuższy, wysoki na $15^1/_2$ cm., a gruby na 10 cm., podany w tył, kończy się śpiczasto o jednej odnóżce, zakończonej ku przodowi trzema perłami; pień drugi na $10^1/_2$ cm. wysoki, znaczy się jakby szóstak. Róże o średnicy jednocentymetrowej. Całe parostki pokryte, przeładowane perłami. Róże i pnie przy nasadzie zrośnięte na trzy centymetry.

Widzimy, co za bogactwo form mamy w parostkach regularnych, które tylko z biedą ująć można w bardzo niepewne granice, boć i to szóstak i tamto również i ten regularny i tamten, a jakże w wielu rzeczach różne. Jeżeli mamy różnorodność w regularnych, to jest ona chyba bez miary w myłkusowatych. Takie opisywać, znaczyłoby każdy egzemplarz malować z osobna. Wprowadzam wyraz myłkusowaty, bo n. p. sarnik, którego prawy pień ma dwie, lewy trzy odnogi, nie jest zupełnym myłkusem, ale i nie jest regularnym. Jest to szóstak nieregularny.



Chcąc więc ująć całość historyi parostków w pewien system, poza podziałem na naturalne i sztuczne, możnaby je podzielić na trzy działy: I. parostki regularne; II. parostki myłkusowate (nieregularne); III. parostki myłkusów. Do grupy pierwszej zaliczam śpiczaki, widłaki, szóstaki, ósmaki etc. regularne, do drugiej zaliczam parostki o dwóch pniach, ale nie równej na nich liczbie odnóg t. j. nieregularne. A że do tej grupy potężny zastęp się zalicza, warto ją zachować. W końcu do

---

Asien Nederl Indie Oost kust van Sumatra, Pankallan Brandan 9. Października 1899. *)

Kochany Panie Eustachy!

List otrzymałem i chcąc się zrewanżować, pospieszam z odpowiedzią.

Fotografię moją z Indyi zapewne kochany pan już otrzymał, więc jak się tutaj ubieramy i jak ja w indyjskim stroju wyglądam panu wiadomo, ale to chyba najmniejsza rzecz, jest wiele innych i ciekawych rzeczy.

Przedewszystkiem panu, jako zapalonemu myśliwemu, muszę coś donieść o stanie zwierzyny i polowaniach tutejszych.

Dziewicze lasy Indyi obfitują w niezmierną ilość łownej zwierzyny. Stada słoni dzikich pędzą w nich błogosławiony żywot i niepłoszone jeszcze dotychczas często zbliżają się do siedzib ludzkich. Raz tylko jednak obserwowałem z bliska (około 100 kroków) przez godzinę przeszło, stadko, złożone z 17 sztuk i to w samym początku mego pobytu, gdy posłano mnie w lasy, w których stopa ludzka nigdy nie była przedtem. Trzystu Malajów z siekierami w rękach cięło wśród lian i niebotycznych damarów drogę dla przeprowadzenia maszyn i kotłów. W jednem miejscu nie mogliśmy wyminąć drzewa, którego korzenie przy ziemi do mniej więcej 15 metrów w górę jakby ściany półmetrowej grubości przy rozpięciu nieraz 30tu metrów się wznoszą. Ścinać drzewa takie za dużo roboty, więc wycięliśmy tylko przez środek, otwór jakby bramę, 6 metrów wysoki, a 3 szeroki.

Po dotarciu na miejsce, co od przystani okrętów małych, jakie tu po rzekach kursują, na odległość pięciu kilometrów, dwa tygodnie blisko trwało, zacząłem sobie budować chałupę. W dwa dni była gotowa, co zresztą bardzo rzecz łatwa.

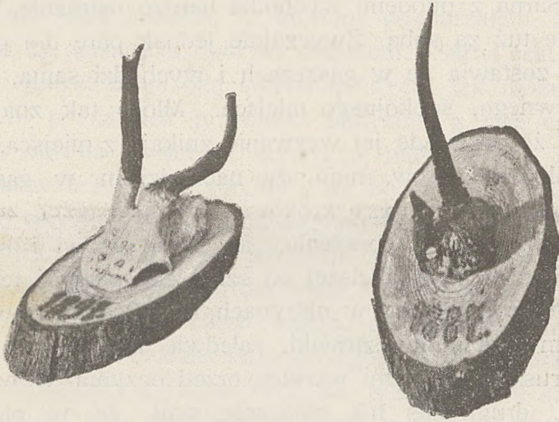
Na kilkunastu słupach, wbitych w ziemię, daje się wiązanie z patyków, dach pokrywa liśćmi palmy specyalnej, ściany również z tego materyału, podłoga z luźno ułożonych desek — ot i dom gotów. Ułatwiwszy się z chałupą i sprowadziwszy me lary i penaty, zacząłem budować wieżę wiertniczą i szyb. Dnia pewnego siedzę przy obiedzie, w tem wpada zdyszany Malaj, siada w kuczki, (gdyż nie odważy się stojąc mówić do Europejczyka) i po-

*) Nadesłany nam przez jednego z szanownych członków Towarzystwa list umieszczamy, sądząc, że zainteresuje on czytelników „*Łowca*.“

grupy trzeciej zaliczam parostki wszystkie o trzech pniach, trzech, czterech różach, parostki przez igraszkę natury, czy też z innych powodów najdziwaczniej sformowane, powykręcane—te tworzą grupę myłkusów (mylników). A ciekawe to niezmiernie te parostki, a tak mało zbadane!



Jeszcze jedno tu wspomnieć muszę, a to o sarnach (kozach) z rogami. Parostki kóz to najczęściej śpiczakowate, marne rogi na kilka zaledwie centymetrów, po części bez róż. — Jakiś czas sarny takie uważano za ryki t. j. takie, które nigdy młodych nie mają. Mylne to, ileż to n. p. pokrewnych owiec z rogami płodnych, ale o tem dalej. — Egzystują także sarny z perukami. W sierpniu 1897 zabito taką sarnę z Styryi, a konterfekt jej umieszczono w Waidmannsheil, na stronie 316 rocznika z r. 1897.



Tu należy nadmienić, że u nas mało kto bada dokładnie i z prawdziwym interesem sprawę parostków, tak czysto myśliwską. Każdy powinien po strzale obejrzeć i zbadać swoją ofiarę. Czy nie brak czego, czy worek w porządku, czy barwa dobra, a dopiero strzał, gdzie kula weszła, gdzie wyszła etc. Ważną rzeczą do opisu parostków, to wymiar ich. Pomierza się taśmą centymetrową, każdy pień z osobna. A więc prawy pień od róży, tam gdzie spoczywa na guzie, do końca. Grubość pnia nad różą, obwód róży (gdy zrośnięte w przybliżeniu). Odnogi każdą z osobna. Rozpiętość pni i wysokość guza na którym spoczywa róża. Im niższa ona, tem starszy sarnik. Oznaka nieomylna starości, to twardość czaszki. Wyjątkowe formy nakazują inne jeszcze pomiary, grubość pnia w innem miejscu, lub zrośnięcia jakie i t. p. Do opisu parostków należy i formę ich podać, czy proste, czy owalne, czy zaokrąglone, czy nie ma anormalności. Opis pereł, wyjątkową ich długość się pomierza. Wreszcie, gdy doda się opis koloru i wagę parostków, będzie to pedantycznie dokładny obraz rogów. Przeciętna waga wynosi 250 gr. Opis myłkusa wymaga dokładności znacznie większej, a bez fotografii lub rysunku trudno o dokładne jego przedstawienie.

ROZDZIAŁ III.

Nadmieniłem już w pierwszym rozdziale o barwie sarn, jest ona czerwona, lub bura i ciemna, zdarzają się jednak nawet nie bardzo rzadko sarny zupełnie białe, lub

---

wiada, że słonie kąpią się w pobliskiej rzeczułce. Chwyciłem na wszelki wypadek karabinek dwunastostrzałowy i pobiegłem prowadzony przez Malaja. Słonie tak były zajęte kąpielą, że nie zauważyły szelestu, jaki idąc robiłem i najspokojniej, jużto kładąc się w wodzie, jużto szprycując się wodą za pomocą trąb, odbywały kąpiel. O strzale naturalnie nie myślałem nawet, gdyż byłoby to poprostu narażeniem życia. Zadawalniałem się tylko tym oryginalnym widokiem. Ryk gwizdawek parowych jednak wypędził później słonie z tych okolic. Raz znów w nocy tuż koło wieży naszej ulokował się na spoczynek nocny, bez naszej wiedzy i pozwolenia naturalnie, nosorożec, i rano, gdy jeden z robotników wlazł w krzaki, zobaczył go i krzykiem przestrachu wypędził go. Biedny nosorożec zmiatał aż las się trząsł.

Dzików stada olbrzymie włóczą się po lasach i drogach, ale te strzela się tylko dla wprawy, bo i mięso z nich paskudne i skóra nic nie warta, a często strzeli się pomiędzy takiem stadem i swojską świnię, mało zresztą od dzikiej się różniącą i przeważnie większą część życia na spółkę z dzikami pędzącą.

Najciekawszem jednak i zarazem najniebezpieczniejszem jest polowanie na tygrysa.

Ponieważ miałem przyjemność być na takiem polowaniu i wiedząc że to tak pana jak i tamtejszych myśliwych zająć może, opiszę je szczegółowo, jak umiem.

Wieczorem 16go sierpnia b. r. powracali przez las od roboty cieśle Chińczycy do domu. W tem z krzaków wyskoczył tygrys i mgnieniu oka rozszarpał jednego z nich. Reszta przerażona uciekła i doniosła nam o wypadku.

Telefonicznie zawezwano kilkunastu Europejczyków z karabinami i oficerów holenderskich na wyprawę. Drugiego dnia wieczorem dwunastu myśliwych gościłem pod moim dachem. Około czterystu „koelies" (naszych robotników) pod wodzą czterech mandoerów (jakby polowi u nas) jeszcze przed wieczorem na noc całą wyruszyło w lasy, by zdaleka otoczyć miejsce, gdzie mógł się znajdować tygrys. Równo ze świtem przedzierając się przez nieprzebyte prawie gąszcze przybyliśmy do miejsca, gdzie dwie rzeczki na przestrzeni około kilometra pozwalały przypuszczać, że tygrys goniony będzie szedł pomiędzy niemi. Za pomocą długiej, cienkiej i silnej linki manillowej, którą każdy z nas miał przy sobie dostałem się na wysokie damarowe drzewo. Stąd zobaczyłem przed sobą na lewo brudną rzeczułkę, płynącą w parowie, trochę na prawo bardzo obszerne krzakami zarosłe miejsce, a z boku Holendra, drapiącego

sarny srokate. — Tak sarniki jak i sarny białe nieraz strzelano, a w muzeum imienia hr. Dzieduszyckich we Lwowie znajduje się wypchany sarnik biały, z plamką ciemną na łopatce, zabity lat temu kilka przez p. Józefa Cieńskiego nad Dniestrem, w Zaleszczyckim. Przy sposobności przypomina mi się wesoły wypadek autentyczny z polowania, gdzie jeden z myśliwych zabija białą sarnę, o której egzystencyi w kniei nie wiedziano. Kiedy ją wszyscy leżącą otoczyli, podziwiając ten wybryk natury, gospodarz odzywa się w te słowa: „Zaszczyt to nie mały, sąsiedzie dobrodzieju, że św. Hubert takim cię podarkiem obdarzył, zaszczyt to dla ciebie, bo rzecz osobista, zaszczyt i dla mnie, bo u mnie się wypadek ten zdarzył.“ Po pauzie dopiero: „ale jest i odwrotna strona tego medalu, bo sztuka ubita jest kozą. Nie bierz mi więc sąsiad dobrodziej sprawy całej za złe, że jednak dbam o wykonywanie ustawy łowieckiej, dziś jeszcze zrobię doniesienie do Starostwa.“

Albinizm taki przedstawia się w barwie białej, żółtobułeczkowej, lub srokatej i tę najczęściej spotkać można. Wtedy sztuka ma łaty białe po sobie, albo badyle tylko białe itp. — Widziałem i jedno i drugie. W powiecie brzeskim w Jasieniu zabity został sarnik srokaty lat temu kilka, a obecnie znowu znajduje się parka całych prawie białych w okolicy. Koza zmarnowała się podobno tej zimy.

Zwyczajna jednak barwa sarny letnia, to czerwona.

Albinizm w gruncie rzeczy jest objawem degeneracyi i dlatego powinno się strzelać białe sztuki, a przeciwnie ciemne, prawie czarne, chodować, bo zazwyczaj są to sztuki duże i silne.

Któż nie podziwiał już stadka sarn, wychodzącego porą wieczorną na żer, czy to na zrąb, czy na łąki, czy w pola? Jakie to ruchy zgrabne, jaka uwaga i ostrożność. Ciągła gra uszów, ciągłe nadsłuchiwanie, czy nie ma jakiego niebezpieczeństwa, przy tem nieustanne wietrzenie. Za nim rudel taki spokojnie się paść zacznie, długi czas upływa. Ale niechno szmer lub ruch najmniejszy zdradzi obecność człowieka, całe towarzystwo, jak piorunem rażone znika w lesie, a on, często i ona beknie w gąszczach kilka razy, jakby chcąc dać wyraz oburzenia, że ją spłoszono.

Sarny wychodzą bardzo wczesnym rankiem i wieczorem na żer. Jest to ich zwyczaj, stąd też między szóstą a ósmą jeszcze po kniejach się błąkają, wracając z posiłku. Tak samo i po południu około trzeciej, czwartej zaczyna się ruch w knici, bo sarny idą w drogę ku wyborowym paszom i przysmakom. — Gdzie stan sarn dobry, tam ruch ten obserwować można codziennie. Zapewne dla małych obszarów, gdzie sarn nie wiele, a może nawet tylko przechodnie, sarny te nie mając konkurencyi zdążą zawsze na czas na żer, to też później się ruszają. Ale robią to i wtedy, gdy mają niepokój, hałas, ruch w kniei. Chociaż jak wszystko w życiu sarny, tak i to jest nieregularne, bo jednego dnia wyjdą o najzupełniej nieoczekiwanych godzinach, mimo ruchu, mimo ludzi może pracujących w polu, już nie mówię pomimo bydła, bo tego sarny zupełnie się nie boją, innym zaś razem sarnik, który przez kilka dni prawie z dokładnością zegarka wychodził w pewnem miejscu, czwartego nie wyjdzie, a może nie wyjdzie już wcale, bo zmienił przesmyk (weksel). Inny znów wychodzi w tem samem miejscu i o tem samym czasie dzień w dzień, aż mu kula przędzy życia nie przetnie.

Sarna z młodemi wychodzi bardzo ostrożnie, prowadząc je tuż za sobą. Zwyczajnie jednak parę dni po okoceniu, zostawia je w gąszczach i wychodzi sama, szukając pewnego, spokojnego miejsca. Młode tak znają głos matki, że na każde jej wezwanie znikają z miejsca. Nieraz zdarzało mi się w maju, że nachodziłem w gąszczach śpiące sarniaki na parę kroków. Nadmieniam o tem dlatego, żeby dać wyobrażenie, jak łatwo lisowi i szkodnikom, idącym stokroć ciszej od człowieka, podejść te niebożęta. Raz pamiętam w olszynach, w wysokiej trawie, zeszedłem dwa młode sarniaki, zaledwie kilkodniowe; jeden tylko ruszył, ginąc mi wkrótce przed oczyma w wysokiej trawie, drugi zaś tak smacznie spał, że w pierwszej

---

się z trudem, na drzewo. Wschodzące słońce jak żar gorące, złotym blaskiem oświetlało krajobraz.

Z daleka bardzo rozróżniliśmy już gwizdy piszczałek mandoerów — znak, że nagonka ruszyła. W kwandrans później usłyszeliśmy już i krzyki malajów idących ku nam i las jakby ruszać się począł, stada dzików, niektóre w szalonym galopie, inne truchtem, obracając się czasem i ze świstem wciągając w nozdrza powietrze, przestraszone niezwykłym łoskotem i wrzaskiem, zmykały. Stadko antylop z położonymi na grzbiecie rogami przemknęło jak strzała tuż pod mojemi nogami, tak, że mimowoli podniosłem karabinek, by strzelić, ale przemogłem się. W tem z drzewa obok mnie pada strzał. Pobiegłem wzrokiem i zobaczyłem, jak śmiertelnie raniony tygrys dał szalony skok w powietrze i machnąwszy kozła, rycząc zwalił się na ziemię, w przedśmiertnych kurczach rzucał się jeszcze wściekle i chwytał w straszną paszczę krzaki. W sekund jednak kilkanaście jak lis strzelony otwierał tylko leżąc paszczę, a po chwili wyprostował się bez ruchu. Gromkie „hallo!! z mych i szczęśliwego strzelca piersi rozniosło wieść o zgonie tygrysa. Na miejscu zaraz ściągnięto skórę wraz z kłami i pazurami. Strzał był rzeczywiście świetny. Jak szczęśliwy sąsiad opowiadał, tygrys wyszedł wprost niego i wychyliwszy łeb z krzaków, niespokojnie się rozglądał, czy ma wolną przestrzeń do ucieczki. Tej chwili użył do złożenia się i wpakowania mu kuli w czoło między ślepie.

Jest tu gatunek bażantów, chodzący zawsze w ślad tygrysa i żyjący jego odchodami. Gdy się posłyszy krzyk takiego bażanta, można być pewnym, że w okolicy jest tygrys. Tygrys czasem głodny przychodzi i po kury do domów.

Małp miliony bez ustanku jak dzień długi, włóczy się z wrzaskiem piekielnym po drzewach za owocami. Warto rzeczywiście widzieć te ich szalone skoki z drzewa na drzewo i gonitwy po gałęziach.

Ja mam na łańcuszkach teraz czternaście małp gwoli rozweselania mnie. Dwie całkiem oswojone już bez łańcuszków chodzą wolno po domu, ale muszę im czasem sprawiać bicie, gdy się zabierają do szklanek lub talerzy, bo tłuczenie szkła, to ich największa przyjemność.

Kiedyś jadąc łodzią ubiłem już piątego krokodyla . . .

. . . .

K. D.



chwili wziąłem go za zdechłego albo co najmniej chorego. Schyliwszy się położyłem rękę na nim i w tej chwili sarniak przerażony zerwał się i poszedł w ślad za pierwszym. Gdy matka wyprowadza je na żerowisko wysuwa się z gąszczów powoli i ostrożnie wietrząc, nadsłuchując i patrząc na wszystkie strony. Teraz zdaje się jej bezpiecznie, więc wysuwa się na łąkę a wnet za nią podąża jedno lub dwa młode. Matka posuwa się powoli żerując, opędzając się głową i badylami tylnymi od chmury komarów, nieodstępnych a dokuczliwych towarzyszy wszystkich nieledwie żerowisk, a jednak czuwa bacznie i widzi znakomicie. Sarniaki skubią trawę od niechcenia, zabawa głównie ich nęci, boć o pokarm ten nie wiele jeszcze dbają, mama na czas zaopatrzy. Ale te pląsy, te skoki, te rozpędy, te wydziwiania igrających sarniaków, to sto pociech.

W gąszczach, kulturach, w wysokiej trawie z nienacka najechane sarniaki warują, przyciskają się, jak długie do ziemi i myślą, że się ich nie widzi. Jak głos znają wzajemnie matki dzieci i na odwrót, można się przekonać, gdy się młodego złapanego jednego dnia, wypuści na drugi dzień w tem miejscu, gdzie został złapany, a samemu się schowa. Wnet usłyszy się najpierw pisk młodego, a potem głośne narzekanie. Niedługo zazwyczaj się czeka, a zjawia się sarna i zabiera uradowana swą zgubę. Nieraz przynoszono mi małe sarenki, z któremi powtarzałem zawsze manewr tu opisany z dobrym skutkiem. Sarna jest dobrą matką i nawet broni ona swych młodych, jak może, uderzając n. p. na lisa przednimi badylami z całą energią. Niestety obrona to słaba i zazwyczaj nieskuteczna.

Sarny letnią porą trzymają się bliżej pól i łąk a zazwyczaj trzymają się z upodobaniem jednej części rewiru. Znałem leśnego, z którym jeździłem na podjazd w pięknej kniei, gdzie sarn było bardzo wiele. Chodziło nam o jednego starego filuta i często bardzo przyjeżdżaliśmy około gąszczu blisko dziesięciomorgowego, bardzo zwartego. Tutaj widzieliśmy go kilka razy, ale tylko na parę sekund, bo zawsze się salwował w ten gąszcz. Leśny ów mówił: „tu jego stajnia.“ I bardzo to trafnie choć zabawnie.

Stare takie mądre sztuki — nazywam je ekscelencyami — kontentują się paszą leśną do późnego wieczora, a wychodzą bardzo ostrożnie, późno i na krótko, albo z brzaskiem dnia. Sarny potrzebują zagajników, lubią lasy mieszane, w których są łąki i woda, a nadewszystko mokrą olszynę, w której suche miejsca wybierają na legowiska.

Wiek sarny nie da się oznaczyć, według zębów tylko do półtora roku, ale na to i zębów nie trzeba. Sarniak w dziesięć dni po urodzeniu ma ośm zębów mlecznych w dolnej szczęce (siekaczy), a po trzy trzonowe w obu. Po roku mleczne zęby zastępują nowe, większe i ciemniejsze. Ma on teraz ośm siekaczy i dwanaście trzonowych.

Sarnie złapane da się wychować na mleku flaszką z pypką gumową. Oswoi się ono, jak pies, choć idzie do lasu, to wraca, nieraz już w dojrzałym wieku z familią. Zwykły jednak jej koniec jest smutny, bo albo się rozbije, albo ją psy zagryzą, a sarniki stają się z wiekiem tak złe, że trzeba im żywot skrócić. Chowanie takie zresztą, to i ambaras i celu nie ma, chyba dla badań naukowych w zwierzyńcu, lub t. p.

Pożywienie sarny składa się z bardzo obfitego „menu“. I tak wszelkie trawy, młode zboża, rośliny pastewne, specyalnie koniczyna, owies, lucerna, saradela, rzepak, łubin, dzikie owoce, niektóre gatunki grzybów, żołądź, bukiew — dalej młode pędy, listki i pączki wielu drzew liściastych, topoli, wierzby, dębu; iglaste sosny i świerki. Liście ostrężyny to przysmak ulubiony; zjada także borówki.

Za nim sarny wyjdą z lasu na pole lub łąkę, mają one zwyczaj patrolowania nad brzegiem, chodząc zaś, czynią to tak cicho, że bardzo wprawne ucho i na bliską tylko odległość usłyszeć może szelest. Mimo stopek rogowych, dziwna to rzecz, stąpają tak cicho i ostrożnie tam, gdzie psy n. p. hałaśliwie się poruszają. Pies mimo tego, że ma łapy miękkie chodzi głośno i z daleka go słychać, a sarna dojdzie w ciszy leśnej na pięć kroków niesłyszana do człowieka. Mysz hałaśliwsza jest od sarny. Naturalnie, sarny spłoszone, uciekając, uderzają tak głośno szczególniej o zmarzniętą ziemię ratkami, że aż dudni. I są ludzie, którzy podobno poznają po stąpaniu w rudlu galopującym na sztych, czy znajduje się w nim sarnik, ten bowiem znacznie głośniej następuje.

Sarna przyzwyczaja się do ruchu i często powtarzających się scen n. p. do pociągu. Podczas wyrębów ruch ciągły, wozy zobojętniają sarny tak, że często leżą przy drogach na parę kroków, niedbale oglądając się na przejeżdżających, czasem wcale nie powstają.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



PSIA INTELIGENCYA.

(Dokończenie.)

W ostatnim numerze „*Łowca*“ pożegnałem Was szanowni panowie starzy i młodzi myśliwi, słowem „do widzenia“, więc dotrzymując słowa, odzywam się do Was znowu! Przypuszczam, że się już niecierpliwicie i czekacie z upragnieniem na zapowiedzianą niezwykłą metodę układania wyżłów.

Otóż aby Was nie nudzić zbyt długą przemową, powiem Wam po cichu, że kompletnie się rozczarujecie, skoro się dowiecie, iż ja — ściśle rzeczy biorąc — nie mam właściwie żadnej metody, a to najgłówniej z przyczyny, że nawet tego, co za dobre uznaję, rzadko kiedy systematycznie przestrzegam, lecz obok mojej woli, którą psu od razu bezwarunkowo narzucam, idę często pozornie, niejako za psim popędem; to znaczy — wyrażając się jaśniej — biorę na siebie dyplomatyczną rolę kobiety i suggestyonuję psu myśl moją w taki sposób, iż nawet się nie spostrzeże, kiedy ją wykona w mniemaniu, że to zrobił własnowolnie.

Różnica w sposobie suggestyonowania leży może chyba tylko w tem, iż płeć piękna, poddając płci brzydkiej myśl swoją, z reguły prawie, głaszcze pieszczotliwie aksamitną rączką po pod brodę, podczas, gdy ja — odrzucając ceregiele — używam po prostu harapa.

Nie myślcie jednak moi mili czytelnicy, jakoby harap był moim wymarzonym lekiem przeciw psiemu uporowi, lecz chciejcie mi wierzyć, bo mówię Wam szczerą prawdę, iż tak przy tresurze, jakoteż i potem, zachowywałem, zachowuję i będę zachowywał jak najściślej w obec psów na pozór paradoksalne, a mimo to najzupełniej trafne francuskie przysłowie, brzmiące mniej lub więcej tak: „Skoro psa bić nie chcesz, trzymaj harap w ręku.“ — Otóż powtarzam i proszę mi wierzyć, że harap, wiszący na ręce tego, który psa układa — o ile się przekonałem — jest i będzie istotnie najznamienitszym talizmanem, który psa rzeczywiście przed biciem ochrania, albowiem każdy pies, którego skóra, choćby tylko raz jeden, miała sposobność zrobienia znajomości z harapem, będzie miał dla niego zawsze należyty respekt i wkraczając w okręg jego działalności, będzie postępował z taką rewerencyą, jak gdyby przez to chciał dać zapewnienie: „Ja będę cię zawsze kochał, byleś mi tylko na grzbiecie nie tańczył.“

Krótko mówiąc, moja metoda, to każdy wyżeł z osobna. Być może, iż pochodzi to stąd, że uczyłem się układania wyżłów na różnorodnym psim materyale o różnym stopniu inteligencyi; mogę przeto chyba jeno w krótkości i głównych zarysach określić prawidła, które sobie przyswoiłem i za jedynie zbawienne uznaję.

Zatem kiedy chcecie, to słuchajcie!

Najpierwszem prawidłem mojego systemu jest to, że nie biorę nigdy do tresury psa, nie mającego skończonych sześciu miesięcy, bo tu leży ostateczna granica, której w kierunku na dół nikomu przekraczać nie radzę. Najodpowiedniejszym czasem, w którym układanie wyżła całkiem śmiało przedsiębrać wypada, jest wiek dziewięć miesięcy do roku i więcej, ponieważ to można bezpiecznie przyjąć za pewnik, że pies starszy będzie pojętniejszy, a o ile śmielszy, o tyle w układaniu lepszy, albowiem tylko psy nadzwyczajnie bojaźliwe i nie rozwinięte szczenięta stają się w tresurze prawie nie do zniesienia. Jakkolwiek i pięciomiesięczny szczeniak, szczególnie rodzaju żeńskiego, da się dość łatwo ułożyć, to ze względu na to, iż jest niezupełnie rozwinięty, że się tak wyrażę kompletnie dziecinny, może rutynowanego nauczyciela swoimi nieustannymi karesami i gryzieniem przedmiotów, do podawania przeznaczonych, nie tylko wyprowadzić z równowagi, ale nawet rzucić go wprost w ramiona rozpaczy, co dowodzi, że rutyna w tym wypadku traci najzupełniej własność nieomylności. Tu zachodzi już nieunikniona potrzeba zastosowania się do psiej nawyczki, to jest, jeśli pies jest żywego temperamentu, jak Mazur powiada „bawliwy,“ to należy z nim jakiś czas bawić się i dopiero w miarę rozwoju inteligencyi zwolna go przekonywać, że musi swoją chętkę podporządkować woli nauczyciela, gdyż gdzie jak gdzie, ale w tym wypadku da się jak najtrafniej przystosować ruskie przysłowie: „Pip w dzwin, dit'ko w klepało.“ Skoro tedy pies raz zostanie przekonany, to potem już rychło pojmie, iż głos nauczyciela, to dźwięk dzwonu, na gwałt bijącego, który z reguły wywiera tylko depymujące wrażenie. — Gdy zaś pies okazuje pochop do uganiania na wolnem powietrzu, to trzeba przedewszystkiem podczas spaceru przyuczyć go do chodzenia za nogą i wybiegania naprzód wyłącznie na rozkaz: „naprzód“! W reszcie, skoro psi kandydat do nauki ma chwalebny zwyczaj brania w pysk i noszenia po dziedzińcu trzasek, szmatek i t. p. przedmiotów, to wypada rozpocząć tresurę, najpierw od sztuki podawania (aportowania).

Ponadto, zanim rozpocznę opisywać szczegółowo, od którego terminu sam najczęściej zaczynam tresurę, uważam za konieczne nawiasowo zauważyć, iż nauki podawania nie można przedsiębrać nigdy w przytomności dzieci, gdyż w przeciwnym razie okaże się nieunikniona potrzeba zastosowania rygoru nietylko do psa, ale i do dzieci, z tą tylko różnicą, że dziecku przy wymierzeniu plag za niedozwolone porzucanie psu do aportowania balona, lub czegoś podobnego, należy powtarzać za każdem uderzeniem: masz aport! masz aport! podczas, gdy psu za nieprzyniesienie rzuconego przedmiotu, pod żadnym warunkiem słów tych powiedzieć nie wolno, lecz przywoławszy go pod jakimkolwiek pozorem do nogi, ściągnąć w milczeniu prętem po grzbiecie, a puszczając wolno, wskazać ręką miejsce, gdzie rzucony przedmiot leży i wydać z przyciskiem krótki rozkaz: „aport!“ a gdy pies pobiegnie i przedmiot w pysk weźmie, należy dodać, „tak! daj tu!“ i zaraz po odebraniu pogłaskać go, mówiąc: „teraz było dobrze!“

Jak tylko wyżeł zapozna się ze mną tak dalece, iż na zawołanie głosem lub gwizdawką, mimo mego uzbrojenia w pręt albo krótki skórzany harapnik, śmiało do nóg moich przychodzi, zaczynam zaraz nauczać go terminu siadania, acz właściwie nie potrzebuję się w tym kierunku zbytecznie natężać, ponieważ pies umie to już sam z natury, więc staram się tylko podchwycić moment, aby mu dać do zrozumienia znaczenie wyrazu: „siadaj!“ W tym celu biorę kawałek chleba do ręki i przywoławszy psa do nogi, staję gdziekolwiek w pokoju, lub na otwartem miejscu, byle tylko tam nie było żadnego ani ludzkiego, ani też zwierzęcego towarzystwa, a wydawszy psu rozkaz: „siadaj!“ zaczynam jeść najspokojniej. — Pies mając nadzieję, że i jemu cośkolwiek z tego marcypanu dostać się powinno, będzie się z początku niecierpliwił i spinał na dwóch łapach, co bezwarunkowo słowem: „pfuj!“ zganić mu należy, aż wreszcie usiądzie. Gdy to nastąpiło, daję mu w tej chwili kawałeczek chleba do zjedzenia i głaszcząc go, chwalę, „siadaj!“ tak dobrze! Skoro pies znowu na nogi powstanie, to zaczynam jeść chleb dalej, powtarzając od chwili do chwili: „siadaj!“ dopóty, dopóki nie siądzie. Wtedy dostaje na nowo w nagrodę kawałeczek chleba— i lekcya zwyczajnie jest już ukończona, a ja następnego dnia przystępuję do drugiej. Najprzód wykrawuję kawałek chleba w formie podłużnej i takiego rozmiaru, aby wyżeł, biorąc go w „pochwyt“ (paszcza), zmuszony był otworzyć odpowiednio szczęki i zasuszam ten kawałek chleba tak, aby pod możliwym naciskiem zębów nie pogiął się, lub nie rozpadł. Następnie przystępuję do powtórzenia poprzedniego terminu, a jak tylko pies usiądzie, daję mu w pochwyt opisany tu kawałek chleba, mówiąc: „na, masz!“ Gdy spostrzegę, iż pies, chcąc chleb skonsumować, zaczyna na-

ciskać zębami, podnoszę wskazujący palec prawej ręki do góry i wydaję z naciskiem i przeciągle rozkaz: „nie psuj!“, poczem za chwilę odbieram i daję psu tytułem wynagrodzenia za chwalebną wstrzemięźliwość inny kawałeczek chleba, który trzymam w zapasie w kieszeni. Jeżeli pies umie już przez dłuższy czas zasuszony chleb nienagannie trzymać, natenczas oddalam się od niego na parę kroków i wołam: „daj tu!“ Skoro pies do nogi przyjdzie i chleba nie uroni, to tem lepiej, gdyż od razu pojął już siłą inteligencyi, że przedmiot, który trzyma w pochwycie, trzeba oddać do rąk temu, kto mu go dał poprzednio. W takim wypadku odbieram chleb i dawszy psu nagrodę, rzucam chleb na parę kroków od siebie i wydaję rozkaz: „aport!“ Z reguły pies pobiegnie za chlebem i chwyciwszy w pochwyt przyniesie do nogi, a wtedy jest już skończonym aporterem, który prawie nigdy nie zawiedzie, gdyż rozumie już dostatecznie, iż to wszystko, co nauczyciel porzuca i każe przynosić, należy bezwarunkowo podać.

Gdyby pies, mimo to, porzuconego przedmiotu przynieść nie chciał, co zdarza się czasem przy rzuceniu przeznaczonego do podawania patyka, skonstruowanego z miękkiego drzewa w ten sposób, iż końce o średnicy nieco większej, niźli środek, zaokrąglone są kulisto na wzór ciężarków do gimnastyki — i mającego w środku grubości około 4 do 5, a długości około 20 do 25 cm., to zaraz przy pierwszym razie nie należy go karać cieleśnie, lecz tylko wstrzymaniem oczekującej go nagrody, którą kawałeczek chleba i pogłaskanie stanowić powinny. Atoli na wypadek ponawiania się tej niecnoty, zachodzi już potrzeba wymierzenia kary instrumentem, który nauczyciel psa w rękach trzyma, jednak nie inaczej, jak tylko w sposób wyżej opisany, Skoroby jednak i to nie pomogło, to natenczas potrzeba koniecznie wrócić do pierwszego terminu, to jest siadania i podać psu patyk do trzymania w pochwycie i noszenia za nogą, a skutek będzie niezawodny.

Z kolei uczę psa postępowania naprzód w pozycyi czołgającej, a to tak: Przywołuję wyżła do nogi i staję, aby mi pies był tuż koło prawej nogi, poczem naciskam lekko prawą ręką grzbiet dopóty, dopóki pies nie legnie i wydaję równocześnie rozkaz: „pilnuj!“ (waruj) a następnie rzucam zasuszony chleb na kilka kroków przed siebie i wydaję drugi rozkaz: „pójdź dalej!“ Jeżeli pies ociąga się, najprawdopodobniej z przyczyny, iż nie jest pewny, czego wymagam, to go animuję, postępując naprzód i mówiąc łagodnie: „a no pójdź dalej!“ Gdy pies, posuwając się naprzód, stanie zupełnie na nogi, to zmuszam go ponownie do pozycyi poniekąd leżącej i tak z nim dochodzę na dwa kroki do chleba, gdzie powtarzam pierwszy rozkaz: „pilnuj!“

Wytrzymawszy psa w pozycyi leżącej przez kilka chwil, cofam się wstecz aż do miejsca, skąd się rozpoczęło posuwanie naprzód i rozkazuję ostatecznie: „bierz!“ Gdy pies chleb podniesie, wołam zaraz: „daj tu!“ i odebrawszy chleb od psa, chwalę go głaszcząc i daję mu dobrze zasłużoną nagrodę. Lekcyę „pójdź dalej!“ powtarzam tak długo, dopóki jej pies beznagannie nie wykona, tembardziej, że stosuję ją przeważnie jako karę, za niedokładne wykonanie któregokolwiek z poprzednich terminów—i nakoniec każę psu przystępywać tak samo do miski z pokarmem, gdzie podczas spożywania tego uczę go jeszcze przerywania tej dla niego nader miłej manipulacyi rozkazem: „zaczekaj!“ przyczem pies powinien się ułożyć w takiej pozycyi, jak to robi przy terminie pilnowania i leżyć spokojnie dopóty, dopóki nie dostanie na nowo rozkazu: „bierz!“

Nauka w tym kierunku jest dla każdego wyżła niezbędną, choćby tylko w tym jedynym celu, aby pies zaczekał na miejscu wtedy, kiedy zachodzi konieczna potrzeba podchodzenia jakiejś zwierzyny.

Ażeby wyżła nauczyć znaczenia wyrazu: poszukaj!“ ukrywam naprzód w pokoju w pewnej wysokości od podłogi n. p. na krześle, sofie i t. d. ale nigdy bezpośrednio na ziemi, głównie z tej przyczyny, ażeby pies przyuczał się do wietrzenia górą, kawałek mięsa, owiniętego w płatek, a przywoławszy psa rozkazuję: „poszukaj!“ Skoro pies, zwietrzywszy przysmak zacznie postępywać w kierunku miejsca, gdzie mięso jest ukryte, wtedy go mityguję wyrazem! „lekko“ potem: „pilnuj!“ a gdy przystanie rozkazuje ostatecznie: „bierz!“ Jednak nie daję mu pod żadnym pozorem tego mięsa do zjedzenia, lecz odbieram, a natomiast wynagradzam go chlebem.

Potem ponawiam na wolnem powietrzu taką samą próbę i zyskuję niejakie wyobrażenie o sile wiatru danego psiego kandydata, albowiem zupełnej pewności w tym względzie w żaden inny sposób nabrać niepodobna, chyba dopiero z chwilą, kiedy wyżeł ptactwo w polu wyszukiwać zacznie.

Kiedy wyżeł przyswoił sobie naukę już do tego stopnia, że egzamin z zakresie tresury pokojowej, czego rutyna, prawie bez wyjątku, każe uczyć wyłącznie w zamkniętym lokalu, zdał z dobrym postępem, wychodzę z nim w pole i przedewszystkiem uczę psa znaczenia rozkazu: „naprzód!“ przyczem również nie bardzo się fatyguję, gdyż proste pokazanie ręką naprzód popycha wyżła zwyczajnie do biegu w kierunku wskazanym. Wszelakoż gdyby pies z obawy, lub jakiej innej przyczyny, trzymał się przy nodze, to należy go animować słowami: „a no naprzód! a no naprzód!“ ale nie bić nigdy pod żadnym warunkiem, co podkreślam najwyraźniej. Kiedy wyżeł na rozkaz: „naprzód!“ jak z procy wypada i używa ruchu, ile tchu mu starczy, natenczas dla poskromienia nieprawidłowego uganiania, wydaję rozkaz mocno podniesionym głosem: „nazad!“ i pochyliwszy się klepię ręką po cholewie wołając: „tu do nogi!“ Jeżeli pies wróci zaraz, to pochwalam posłuszeństwo, klepiąc go ręką po grzbiecie i tłumaczę mu, pokazując ręką na nogi: „nazad!“ to znaczy: „tu do nogi!“ a następnie, bezpośrednio potem, przewlekam pasek, który w ręce krótko trzymam, przez kółko obroży i wydawszy rozkaz: „za nogą!“ idę naprzód, nie troszcząc się bynajmniej, czy pies się ociąga, czy też idzie własnowolnie.

Po niejakiej chwili, skoro zauważę, że pies idzie chętnie, obracam się i głaszczac go mówię: „za nogą! tak dobrze!“ poczem idę dalej i nie chcąc psa zbytnio maltretować, patrzę na to obojętnie, czy pies idzie tuż za prawą, czy też lewą nogą.

Z tego powodu nie pojmuję dobrze, dlaczego p. hr. Sumiński wymaga sine qua non, ażeby pies chodził wyłącznie tylko za lewą nogą, skoro ja się prze-

konałem, iż bicz, wiszący na pętlicy w zgięciu prawej ręki, jest dla psa przestrogą, aby bez rozkazu naprzód nosa nie wytykał, przeto mniemam, że to obostrzone wymaganie nie będzie niczem innem, jak tylko czystą rzeczą gustu, która jako kwestya bardzo małej wagi, żadnej dyspucie podlegać nie może. Wracam tedy znowu do mojego psiego ucznia.

Kiedy pies za nogą idzie nienagannie i czasem tylko z niecierpliwości nos naprzód wystawia, więc chcąc go pocieszyć, wydaję znów rozkaz: „naprzód!“ Gdy pies naprzód pomknie i nie więcej jak 30 do 40 kroków przebiegnie, wydaję wnet wręcz przeciwny rozkaz: „nazad!“ Jeżeli pies w tej chwili nie odbije się z miejsca, jak piłka i do nogi nie wróci, to bezwarunkowo dostaje karę cielesną przyczem muszę zauważyć wyraźnie i podkreślić okoliczność, iż dla lepszego wrażenia psu w pamięć omawianego rygoru, bynajmniej nie dla efektu, lecz z koniecznej potrzeby, powtarzam przy każdem wymierzeniu plagi, podniesionym głosem: „nazad! nazad! nazad!“ Jednak dla zapobieżenia, ażeby pies nie stał się rękopłochy, to znaczy, nie stronił od ręki, nie puszczam go od siebie zaraz po wykonaniu kary, lecz wprzód go pogłaskam, mówiąc przeciągle: „tak nazad! tu do nogi!“ Tak samo postępuję, skoro pies do nogi na odgłos gwizdawki natychmiast nie wraca. Potem prowadzę psa za nogą kilkadziesiąt kroków naprzód i znowu rozkazuję: „naprzód!“ a następnie tak samo, jak poprzednio: „nazad!“ Skoro pies w tej chwili zawróci i do nogi przyjdzie, to go pochwalam w sposób wyżej określony — i od tej chwili jestem pewny, iż posłuszeństwa nie wypowie. — Wreszcie puszczam psa znowu kilkadziesiąt kroków naprzód i daję mu znak ustami: „pst:“ Gdy pies się oglądnie, przysiadam na ziemi, a pies zdjęty ciekawością, co się stało, wraca zwyczajnie pędem do nogi, gdzie pogłaskawszy go, każę mu leżyć i wydając rozkaz: „zaczekaj!“ oddalam się od niego w postawie pochylonej, pierwszy raz na 40 do 50 kroków, a wyprostowawszy się przywołuję go gwizdawką. W ten sposób nauczy się pies wkrótce tak dobrze czekać, że nie ruszy się z miejsca chociażbym nawet na kilkaset kroków oddalił się od niego.

Jeżeli nie mam zamiaru uczyć psa wyszukania zguby, to z chwilą wyżej naprowadzoną kończę tresurę zupełnie i wychodzę z psem na polowanie, gdzie kieruję nim dalej ściśle podług opisanych wyżej rygorów bez użycia, według mego zdania, niepotrzebnych korali i różnego rodzaju linewek, bo mam niezłomne przeświadczenie, że moralny przymus, jaki na psy wywieram, jeśli nie przewyższa, to przynajmniej równoważy przymus fizyczny, stosowany przy tresurze „par force.“

Na zakończenie dodam jeszcze tylko to, iż psa, który dobrowolnie do wody iść nie chce, oswajam z wodą w ten sposób, że zostawiam go na lądzie, a sam wchodzę do czółna, odbijam od brzegu i wołam go do siebie, czego niezawodnym rezultatem jest to, że pies na pozór niby dobrowolnie, a przecież z przymusu, skacze do wody i dopływa do mnie.

Jeżeli tedy Wam, moi mili bracia w św. Hubercie, przypadnie do gustu mój własny, doświadczeniem zdobyty, całkiem pojedynczy i bynajmniej nie skomplikowany sposób układania wyżłów, sprowadzajcie rychło nową rasę i układajcie psy według wskazanego sposobu, a ja natenczas będę się miał za najszczęśliwszego, skoro doczekam tej radośnej chwili, że w kraju naszym, obok ludzkiej inteligencyi, powstanie trochę za moją przyczyną jeszcze i psia inteligencya.

Kisielewski.



KORESPONDENCYE.

Ossowce, w grudniu 1899.

Polowanie w Uniżu.

. . . . od Króla Lecha
Żaden za zającami nie gonił Hreczecha.

Wracam z polowania w Uniżu od p. Władysława Przybysławskiego. Polowania te były już nieraz opisywane w „*Łowcu*“, lecz są one tak oryginalne i zawsze z takiemi przygodami połączone, że nigdy się o nich zadużo nie napisze. Położenie Uniża jest nader romantyczne, leży on w głębokiej dolinie Dniestru, prawie nad samą wodą. Ścianki strome otaczają go w około, możnaby myśleć, że się jest w wysokich górach. Na ściankach sterczą strome skały. Poluje się na tych uboczach, chodzenie ciężkie, miejscami z wielką ostrożnością trzeba się na dół spuszczać. Jest między innemi tak zwana: „djabelska linia“, okropnie spadzista, aż strach o niej pomyśleć. Wszystkie te jednak trudności bywają sowicie opłacone ilością zwierzyny i jej rozmaitością. Nagonka chodzi znakomicie, — trzeba być urodzonym i wychowanym w Uniżu, ażeby móc jak dzika koza drapać się po tych skałach. Właściciele cyrków powinni zjeżdżać do Uniża, aby tam wśród ludu wyszukiwać sobie mistrzów w gimnastyce. Zające, sarny, lisy i dziki są także w Uniżu sztukmistrze cyrkowi. Na przeciwnym brzegu Dniestru znajduje się zawsze w czasie polowania jeden z pobereźników z wielką tubą; zwany on jest „balonistą“, widzi on całą nagonkę jak na dłoni i zapowiada silnym tubalnym głosem, jaka idzie zwierzyna i w jakim kierunku się ona udaje. Sprawia to wielką emocyę i jest nader miłem urozmaiceniem łowów. Drużyna nasza myśliwska składała się z piętnastu myśliwych, wytrawnych czcicieli św. Huberta, mających już wiele grubego zwierza na sumieniu. Czas był sprzyjający, choć silny i zimny wiatr dął po ściankach Dniestru. Niejednemu kostniały palce i musiał tupać nogam, lecz zamiłowanie myśliwskie nas ogrzewało. Zajęcy w Uniżu w ogóle mało, zabiliśmy ich jednak około czterdziestu i dwa lisy, zato stan sarn znakomity, padło ośm rogaczy — zdaje się, że to nie

dużo, lecz trzeba wziąść na uwagę, że strzały na tych stromych ściankach są nader trudne i poznanie rogacza wymaga wielkiej wprawy myśliwskiej. Widzi się go czasami zupełnie nad głową, czasem zupełnie pod nogami. Kto zabił rogacza na ściankach w Uniżu, dokazał tej sztuki, jakby ich był zabił pięć na równinie. Wiele ich też uszło bez strzału, wymykały się jak kozice w Alpach. Dzików było kilkanaście, lecz tylko dwa zostały zabite i to obydwa przez p. Marcelego Bogdanowicza. Ktokolwiek polował we wschodniej Galicyi, lub w kołomyjskiem, temu musi być znana postać p. Bronisława Słoneckiego. Myśliwy już to niemłody, starej daty, jeden z tych rzadkich dzisiaj przedstawicieli dawnego łowiectwa polskiego, z tych, co to swoją karyerę myśliwską rozpoczęli od skałkówki. Strzela znakomicie, obyczaje i nawyczki wszelkiego zwierza zna doskonale, mniejszą zwierzyną pogardza. Podobnego jemu musiał kiedyś znać Mickiewicz i tak go nam znakomicie przedstawił w wojskim Hreczesze. P. Bronisław Słonecki miał w ostatnim miocie pierwszego dnia polowań przygodę z dzikiem, którą jeden z uczestników polowania przedstawia czytelnikom „*Łowca*“, a którą ja postaram się opisać. Działo się to, jak wyżej pisałem, w ostatniej nagonce pierwszego dnia i już było trochę ciemno. Nagonka już prawie dochodziła do myśliwych, gdy z gęstwiny wyskoczył duży dzik i w szalonym pędzie przebiegł koło p. Marcelego Bogdanowicza. Ten ostatni strzelił do niego i dzik wyraźnie kulę zaznaczył, lecz dalej pobiegł i znikł z oczu myśliwych. P. Bronisław Słonecki miał ze sobą młodego psa, podobno ośmiomiesięcznego, z rasy tropowców, proponuje tedy p. Bogdanowiczowi, iść razem z psem za farbą dzika. Naprowadzili psa na trop i znikli nam z oczu. Uszli tak paręset kroków, p. Słonecki trzymając ciągle psa na łańcuszku, którego koniec w koło ręki okręcony, ze strzelbą przewieszoną na szyi. Nagle z poza krzaku wyskakuje dzik, pies na jego widok szarpnął p. Słoneckiego, który pośliznąwszy się, upadł na wznak. Dzik skoczył ku niemu i nastąpiła dramatyczna scena: p. Słonecki leżąc ciągle odbija lufą nacierającego nań dzika, pies wyrwał się z łańcuchem, lecz boi się atakować dzika — p. Bogdanowicz tymczasem w okropnem jest położeniu, strzelić do dzika nie może, gdyż przy tem gwałtownem szamotaniu się p. Słoneckiego z dzikiem, co się tylko zmierzy, to ma głowę lub rękę p. Słoneckiego na końcu lufy.

Z obawy, aby kula expanzywna explodując nie zraniła odłamem p. Słoneckiego, zmienia szperę z expresa na górną lufę z gładką kulą i w końcu, w chwili dogodniejszej, ostatecznie odważa się na strzał. Dzik ugodzony śmiertelnie pada*). Dramat się skończył i dzięki Bogu p. Słonecki wyszedł cały i zdrów. Dzik poszarpał lisiurkę mu na plecach, lecz szczęściem p. Słonecki jest szczupły, dzik go szukał w lisiurce, lecz nie znalazł.

Przy obiedzie i wieczorem rozpowiadano sobie cały ten epizod ze wszystkimi szczegółami i dodatkami, opisom i uwagom nie było końca. Pomiędzy czytelnikami „*Łowca*“, dużo jest myśliwych, którzy polują na dziki, powyżej więc opisana przygoda niejednego zaciekawi. Widocznie za postrzelonym dzikiem nie można się tak śmiało puszczać, jak za farbującym zającem lub rogaczem; ostrożność nigdy nie zawadzi. W Uniżu od lat kilkudziesięciu bywają zawsze starannie prowadzone protokoły polowań — są niektóre opisy nader ciekawe i zajmujące. Pan Władysław Przybysławski obiecał, że z nich pozwoli zrobić wyciągi; wszystkich czytelników „*Łowca*“ bardzo to zaciekawi i w ich imieniu składam mu za to serdeczne podziękowanie.

Alexander Potocki.



Rys. F. Horodyski.

---

*) O ile nam wiadomo z zapisków protokolarnych Uniskich padł to dzik Nr. 180.

Dnia 9 grudnia polowaliśmy w 9 strzelb w Sudkowicach, u p. Dyonizego Pogłodowskiego i zabiliśmy rogacza, 4 lisy i trzydzieści kilka zajęcy. Rezultat i tak ładny, mógł być o wiele ładniejszym, gdyby zaproszeni goście, nie wyłączając i podpisanego, tak okropnie nie pudłowali. Ponieważ jednak wszystko na tym świecie ma swoją przyczynę, tak i nasze pudła miały swój powód, który szanownym kolegom wyłuszczę:

Oto jeden z gości, nasz kochany, sympatyczny i zawsze z humorem sąsiad, hr. K. D., wybrał się przy 11° stopniowym mrozie na to polowanie w nowiusieńkich, żółtych, sznurowanych bucikach, jak również we wspaniałych „pur sang“ angielskich pończochach — i na każdem stanowisku wykonywał coś w rodzaju wojennego indyjskiego tańca, przeplatanego kankanem i naszemi swojskimi prysiudami. Idące na nas zające, na widok tych nieznanych im ewolucyi, dostawały szału z przerażenia a uciekając tak wysoko podskakiwały, że trudno było je brać na cel, wskutek czego powstały wyżej wspomniane pudła.

Zajęcy było dużo, polowanie gospodarz prowadził wzorowo, jak też wzorowo od lat wielu choduje zwierzynę.

Wieczorem przy suto zastawionym stole piliśmy perlistym i szumiącym płynem zdrowie pani domu, dnia tego solenizantki, poczem i innym toastom nie było końca.

A. M., delegat mościski.

W kronice tegorocznych łowów godzi się zanotować pod datą dn. 18 grudnia 1899. polowanie u p. Władysława Bzowskiego w Pantalowicach dolnych. — Gospodarz, wytrawny myśliwy, a zarazem wyborny psycholog, chcąc nasze myśliwskie serca jeszcze bardziej niespodzianką rozradować, zapowiedział rano, że jego zwierzostan jest w tym roku bardzo lichy; tymczasem, pomimo, że mroźny wicher chłostał niemiłosiernie nosy i uszy, a wyprawiał dziwaczne harce z naszymi wąsami, z których niby kły u morskiego konia zwieszały się sople zamarzniętej pary, ubiliśmy w 16 strzelb 40 zajęcy, a kilka mocno postrzelonych zapewne jeszcze na polach pantalowskich się znajdzie. — W niektórych miotach była nader żwawa strzelanina, niby łopot cepów na klepisku, a podnieść należy, że zające p. Bzowskiego są wychowane według wszelkich reguł „*savoir vivre'u*“, bo z uprzejmością godną dobrze wychowanych panienek, które na balu wszystkich równymi względami obdarzać winny — rozdzielały się zawsze jednomiernie na wszystkich myśliwych, aby każdy do strzału przyszedł. — Jeden duży kot zrobił nam szczególniejszą zabawkę, gdyż przedefilował przed całą linią myśliwych, wszyscy do niego pukali a on za każdym strzałem to słuchy podnosił, to je tulił robiąc pocieszne susy, wreszcie wydostawszy się z opałów w elastycznych podskokach, niby koń wyścigowy, zdrów i wesół czmychnął do gaju; istny „charakternik!“ W ogóle dużo więcej długouchich powinno było powędrować do kuchni pantalowskiej, gdyby nie to, że „człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi.“ Z tego samego powodu uszedł z miłem zdrowiem i życiem piękny lisiura, a oprócz marnych szaraków powinny były paść jeszcze i dwa rogacze (recte sarniki). Z obowiązku kronikarza, nie mogę pominąć, choć ze wstydem, owego „*casus paskudeus*“ z rogaczami. W środku miotu, na czele rudla złożonego z ośmiu sztuk, stara koza długo się rozglądała, by upatrzeć miejsce, którędy się przebić przez nię; wreszcie widocznie moja osoba wzbudziła w niej największe zaufanie (mądra szelma!) i oto wali prosto na mnie cała czereda. Westchnąłem do św. Huberta, aby m choć na kilka sekund zdwoił bystrość wzroku, wprawił ośm par ócz... patrzę, pierwsza koza, druga koza, trzecia koza.... byłem pewny, że ostatni będzie sarniuk i nie patrząc już na tamte składam się do *arrière garde'y*, lecz w ostatniej chwili spostrzegam, że i tam pędzla nie było! Później się dowiedziałem, że oba rogacze szły w samym środku rudla i tak, nie chcąc zgrzeszyć zabójstwem kozy, puściłem dwa rogacze!

Przykre to było — ale wieczór, po smacznym obiedzie, przy kajennie i wśród wesołej podadanki z wonnym dymem pysznych cygar, któremi nas gościnny gospodarz uraczył, rozwiały się i myśliwskie niepowodzenia dnia tego i liczne troski gospodarskie, które w dzisiejszych czasach wśród hreczkosiejów coraz bardziej się mnożą. — Pudła i pudełka, wszystko, co kto nie dowidział i nie dostrzeli i rankor do mroźnego, ostrego wichru — wszystko to utonęło „w niepamięci piasku“ — natomiast wspomnienie nader przyjemnie spędzonego dnia i wieczoru na długo zagnieździło się w naszych sercach.

Dobczyc.

Kraków, 20 grudnia 1899.

Dnia 16. b. m. ubiliśmy w Mogile na polowaniu spółki „Wisła“, w szczerem polu, w kociołkach, trzy lisy. Nadzwyczajny ten rezultat zawdzięczamy dziwnej niepogodzie, jaka w tym dniu panowała. Przy czterostopniowym mrozie i wietrze, zaczął padać drobny deszcz, który zamieniając się natychmiast w lód, przyoblekał wszystko iście szklanną powłoką. Lisy dla myszkowania w polu będące, zaskoczone niepogodą, pozalegały w głębokich orkach i pomimo, iż lód chrupał pod nogami, dały się kołami otoczyć. Pierwszy lis padł w kole jeszcze niezupełnie zamkniętem — stary samiec, który zrobiwszy parę obrotów, zdecydował się jednak tentować przejście przez nagonkę. Zaraz w następnym kociołku padł samiec drugi, a w godzinę potem jeszcze i liszka przypłaciła futrem swą nieoględność, powstawszy z orki zaledwie na kilkanaście kroków przed postępującemi. Lis w polu w kole, rzecz niezwykła, a o ile pamiętam zaledwie dwa lub trzy razy, przez lat kilkanaście, na naszych polowaniach się zdarzyła, ale trzy lisy na jednem polowaniu polnem w kołach ubite, to chyba nader rzadki wypadek w annałach myśliwskich, o którym warto donieść do *Łowca*. Dotąd tego sezonu ubiliśmy lisów sześć, podczas gdy przed nadzorcami mimo wysokiego strzałowego, salwowały wszystkie swe puszyste kity.

Dr. H. S.

Z przemyskiego, d, 19 grudnia 1899

Dnia 14 grudnia b. r. zjechało się na uprzejme wezwanie p. Jana Rakowskiego znajome sobie od dawna grono corocznych gości na polowanie do Hermanowic. W malutkiej Hermanowskiej kniejce, bo mającej mało co nad sto morgów przestrzeni, roiło się od zwierzyny, tak, że zajeżdżając już do miotu używaliśmy na widoku całych rudlów sarn, pasących się na wszystkie strony, a lisy i zające kręciły się w biały dzień na polach pod lasem, ufne w ścisłą i skrupulatną opiekę, jaką je właściciel otacza.

Dziś jednak ufność ta została w zdradziecki sposób zawiedzioną, gdyż pomimo licznych pudeł, zabiliśmy 40 zajęcy i 2 rogacze. Sarn było kilkadziesiąt sztuk, lecz te są tak roztropne, że przy pierwszych strzałach umykają w pola i stąmtąd z całym spokojem śledzą przebieg polowania, trzymając się zawsze w bezpiecznej odległości. Równocześnie z polowaniem w Hermanowicach, wystawił jeden z sąsiadów Hermanowic, obserwacyjny korpus na swojej granicy, złożony ze swojej służby dworskiej, który to korpus ostrzeliwał gęsto umykającą w pola zwierzynę. Tego rodzaju nieprzyzwoitość sąsiedzka wywołać musi tylko niesmak i oburzenie u każdego prawdziwego myśliwego. — Przyjęcia po polowaniach w Hermanowskim dworze zanadto mają ustaloną sławę, ażebym tu na ten temat miał pisać jakieś banalności. Zaznaczę tylko że uczestnicy obiadu mieli w tym roku miłą niespodziankę, którą przemyskiemu sprawiła stara rywalka, sanocka ziemia. Towarzysze Hermanowskich łowów domyślą się o co chodzi, gdyż olśnieni zjawiskiem, zazdroszczą zapewne dotąd sanockiemu, że posiada gwiazdy o takim blasku. — Dziwna rzecz, że wobec wysokiego rozwoju nauk astronomicznych żaden z astronomów, choćby jak uczonych nie przepowiedział przejścia tak świetnej gwiazdy przez południk Hermanowski; pokazuje to, że Flamarion z całą plejadą współczesnych astronomów są skończonemi niedołęgami. Profani jednak mają nadzieję, że podziwiane przez nich zjawisko jest gwiazdą o stałej orbicie i że orbita ta w roku przyszłym powiedzie napowrót przez Hermanowice. *Y. X.*

Dzięki uprzejmemu zezwoleniu księżnej Adamowej Lubomirskiej, polował radca dworu p. Lanikiewicz w dniu 16 grudnia w rewirze Pleszowskim obok Przemyśla. Mimo najfatalniejszej aury, polowano w 14 strzelb dzień cały a na rozkładzie znalazło się 12 kozłów, 1 lis i 60 zajęcy. Imponującą jest ilość zwierzyny w rewirach miżynieckich. Sarn tyle, co tam prawie się nigdzie nie widuje. W jednym miocie było naprzykład około 200 sztuk, a padło w nim 8 rogaczy. Zauważyć należy, że większa część myśliwych rogaczy nie poznawała. Polowanie było prowadzone wzorowo dzięki sprężystości i fachowości tamtejszego nadleśniczego, p. Kisielewskiego.

Jeden z uczestników.

Rozkład polowań w Nestoidzie r. 1899.

Miesiąc	Myśliwych	Bażanty	Zające	Lisy	Rozmaite kuropatwy
Listopad 2/14	9	2	303	—	2
„ 3/15	8	2	176	2	puhacz 1
„ 4/16	8	5	275	—	—
„ 6/18	7	5	213	1	—
	Razem	7	967	3	3

E. Słuszko.

Kołomyja, 10 grudnia 1899.

Sezon polowań zimowych w naszym powiecie rozpoczął się polowaniem dnia 9. grudnia w lesie Tureckim pod Kołomyją, majątku p. Brettlera, zadzierżawionym przez lwowskie Towarzystwo myśliwych św. Huberta.

Na obszarze około 800 morgów wzięto 7 miotów i w 19 strzelb ubito: 26 kozłów, 165 zajęcy i 5 lisów. Rezultat w każdym razie świetny i śmiało rewir „Turka“ zaliczyć można do jednego z najlepszych we wschodniej Galicyi. To też każdy z uczestników wywiózł wracając do domu nietylko przyjemne wspomnienie, lecz też i przekonanie, że przy racyonalnem gospodarstwie łowieckiem i szczerem zaopiekowaniu się zwierzyną można i u nas podnieść zwierzostan do tej wysokości, jak w Czechach lub Morawii. Nadmieniam, że prowadzenie polowania spoczywało w rękach prawdziwego myśliwego, p. Szczawińskiego, który wzorowo i umiejętnie wywiązał się z funkcyi mu powierzonej. — Uznanie należy się też tamtejszemu leśniczemu, który przez pilne dozorowanie i gorliwe tępienie drapiażników, wiele się do podniesienia zwierzostanu w tym rewirze przyczynia.

Filous, delegat.

Dobromil, d. 15 grudnia 1899.

Dnia 9 b. m. odbyło się w Nowem mieście majątku ks. Czartoryskiej, polowanie w 11 strzelb. Padło 18 zajęcy i 1 rogacz Zwierzyny, zwłaszcza zajęcy było mnóstwo, rogaczy mniej, gdyż brano tylko zajęcze mioty. Lisa nie widziano żadnego, mimo pięknego dnia.

Dnia 12 i 13 b. m., odbyło się w Chłopczycach (pow. Rudki) u p. Józefa Jarzynowskiego polowanie w 9 strzelb. Padło 12 rogaczy, 31 zajęcy i 1 lis. Stan zwierzyny znakomity i gdybyśmy, nie wyłączając podpisanego, nieco mniej pudłowali, mógłby rezultat być świetniejszym.

Dr. Stefan Puchalski.

Glińsko, 15 grudnia 1899.

Leśniczy ze Skwarzawy nowej, p. Kazimierz Orzechowski, otropił dnia 6 b. m. popołudniu z gajowym stadko dzików, na prędce zebrał sześciu małych chłopaków, rozstawił, sam tylko jeden zastąpił na linii i na jednym stanowisku czterema strzałami ubił cztery dziki t. j. dwa odyńce i dwie samury. Dzików było 14 sztuk.

Jan Beer.

Hadle, d. 28 listopada 1899.



Podaję rezultat polowań, w których tej jesieni wziąłem udział: 23. października w Lipniku u p. Zygmunta Łastowieckiego w 12 strzelb zabito 57 zajęcy, 6 rogaczy, 5 lisów i 3 słonki.

28. października w Sieteszy u p. Higieniusza Lastowieckiego w 11 strzelb zabito 15 zajęcy, rogacza i 9 lisów. Stan zajęcy i sarn był tam dawniej znacznie większy, obecnie jednak wobec coraz bardziej rozgałęziającego się kłusownictwa w sąsiednim Manasterzu, zając, a zwłaszcza

sarna, należy już do rzadkości. Nic więc nie pomoże szanowanie zwierzyny ze strony gospodarza, jeżeli Starostwo, łańcuckie nie okaże więcej energii w tępieniu kłusownictwa.

4. i 6. listopada w Dylągówce i Hyżnem, majątkach pp. Jędrzejowiczów zabito w 8 strzelb 25 zajęcy, 11 rogaczy, 12 lisów, 2 słonki i kuropatwę. — Bardzo ładny stan sarn, jaki tam jest stale, zawdzięczać trzeba niewątpliwie korzystnemu położeniu kniei, składającej się z pojedynczych kawałków lasu, rozrzuconych wśród pól w wysokiej będących kulturze, gdzie sarna znajduje obfitą żywność i schronienie, niemniej także staraniom pp. Jędrzejowiczów o bezpieczeństwo zwierzyny ze strony czworonożnych i dwunożnych drapieżników. —

W dniach 14. i 15. listopada polowałem w gronie 9. towarzyszy w Gwoździcu starym, u p. Władysława Komorowskiego. Knieja gwoździecka słynna zawsze z obfitości zwierzyny obecnie przy racyonalnej gospodarce właściciela roi się formalnie od zajęcy i lisów, co właśnie kłam zadaje twierdzeniu, że gdzie lis jest, tam zająca być nie może.

Wprawdzie fatalna aura, zwłaszcza pierwszego dnia, nie sprzyjała bardzo łowom i niejeden lisura całość swego futra zawdzięcza śnieżycy, zasypującej oczy myśliwemu, przecież na rozkładzie znalazło się 125 zajęcy, 12 lisów, 5 rogaczy, 1 kuropatwa, 1 słonka i jastrząb. —

Dzisiaj pluta szkaradna nie pozwala nosa na dwór wychylić, widać jesień nie chce ustąpić zbliżającej się zimie, mam jednak nadzieję, że wkrótce pola się zabielą, mrozik ściśnie, i będzie można wyruszyć na nowe polowania, o których rezultacie nie omieszkam do *„Łowca“* donieść. *Piotr Łastowiecki.*

Kamienna, 19 drudnia 1899.

W dniu 12. b. m., odbyło się polowanie w Czarnołożcach u p. Julianowej Puzyniny, w 8 strzelb, na którem padło 2 rogacze, 2 lisy i 64 zajęcy. Trzem myśliwym sprzyjała Dyana, gdyż na 80 sztuk ubitej zwierzyny oni sami ubili połowę. Wobec tego, iż powietrze nie bardzo sprzyjało, a drużyna myśliwska tak szczupłą była, iż stanowiska nie zajęte zostawały, wynik bardzo ładny.

W tym samym czasie odbyło się kilkudniowe polowanie w Majdanie Górnym, u państwa Kirchmajerów. Na rozkładzie było 10 rogaczy, 6 lisów i 76 zajęcy, niestety dziki się wyniosły tak, że ani jednego w kniei nie było. Z początku powietrze było okropne, myśliwych dosyć nie dopisało, niejawiąc się tak, że tylko 8 do 9 brało udział, w kniei tak dużej. To też dużo zwierzyny przechodziło bez strzału. Co może szanowanie zdziałać, w tem dowód, iż w kniei wcale niezajęczej taki ładny stan zajęcy z roku na rok lepszy, tym bardziej, iż gospodarz ma do walczenia z różnego rodzaju klusownikami.

W dniu 15 b. m. było małe polowanie tylko w kilka strzelb w Markowcach u państwa Ładomirskich, na którem padło: 1 rogacz 1 lis i 23 zajęcy, w kniei, gdzie dawniej zwykle jeden historyczny zając padał.

Pocieszające to, że tak się stan zwierzyny podnosi, a podniósłby się nierównie lepiej, gdyby nie kłusownictwo, które się rozwielmożniło.

O przyjęciu u wszystkich gospodarstwa nie myślę się rozpisywać, bo są znani ogółowi z rzadkiej gościnności, która każdego za serce chwyta. Oby jak najdłużej podobną przyjemność drużynie myśliwskiej sprawiali! *G. Głuchowski.*

Piłatkowce, d. 23 grudnia 1899.

Donoszę o dwóch polowaniach, które się odbyły w naszej okolicy.

Dnia 16 b. m. odbyło się polowanie w Korolówce, kniei panów Jawetrów. Padło w 35 strzelb 11 zajęcy. Rozkład tak mały, przy takiej ilości myśliwych, tłumaczy się tem, że pora była najmniej stosowna na polowanie. Gęsta mgła z drobnym deszczem i szalonym wichrem, wypędziła zające w pole i polne mioty dałyby z pewnością lepszy rezultat.

Dnia 20 t. m. polowano w Krzywczu kniei, p. Seidmanów, padło 16 zajęcy, 1 rogacz, 1 lis, w 16 strzelb. Także rezultat nie nadzwyczajny. Ratuje go tylko większa rozmaitość rozkładu. Knieja Krzywiecka, piękna, teren doskonały, ale brak nadzoru nad leśnymi, którzy są uprzywilejowanymi kłusownikami, jest powodem, że zwykle na krzywieckich polowaniach rozkład tak mały.



Kronika.

W sprawie tępienia lisów, która poruszona była w dziennikach z powodu klęski myszy, zabrał głos jeszcze jeden z naszych członków, p. S. Zalasiński, który bardzo słusznie za tępieniem lisa przemawia. Korespondencya ta tak opiewa:

Panowie B. Śmiałowski i G. Borącz podają sposoby tępienia myszy polnych. Obaj mają względną racyę. Ja sądzę znów, że jeżeli potrafię niszczyć: lisy, jastrzębie, sowy i td. to potrafię niszczyć i myszy. Nie ulega najmniejszej kwestyi, że lisy i jastrzębie czynią ogromne szkody w zwierzynie pożytecznej i jako myśliwy myślący, stanowczo jestem za niszczeniem lisów, jastrzębi, wron i tp. choć bardzo lubię lisa w miocie na polowaniu. Ja, sąs. majątek, hr. Dzieduszyckiego i Ożańsk p. Terleckiego, urządziliśmy się w ten sposób: przy orce pod oziminy poleciłem parobkom i poganiaczom łapać myszy, zabijać i pakować do worka. Za 3 myszy płaciłem 1 ct. W Zarzeczu wypłacono za 9.600 myszy, ja wypłaciłem za 3.436 myszy, a za ile zaplacił mój sąsiad, nie wiem. Skutek ten, że na naszych oziminach prawie nie ma śladu myszy. Próżnowania nie było, gdyż pługi żel. mogą i bez trzymania parobka chodzić. Oprócz połapanych myszy, wyniszczyli masę młodych, deptając je nogami. Nadto, gdzie się jeszcze myszy pokazały, truliśmy pszenicą lub owsem, zatrutym strychniną. W koniczach truliśmy tak samo, a znakomite usługi oddały strzelby (karabinki) do zapuszczania trucizny. Myszy, odrachowane co wieczór, zakopywałem. W przecięciu dziennie, jeden dwunożny lis, Wojtek lub Jasiek, niszczył 85 myszy, a nie zniszczył ani jednego zajączka, ani jednej kuropatwy! Truciznę zapuszczałem sam ze służącym, bo ludziom naszym niepodobna zaufać. Koszt łapania myszy bezwarunkowo mniejszy niż trucie ziarnem, zaprawionem strychniną ze saccharyną.

